

Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Języki martwe socjalizmu i liberalizmu

Lewica ostatnimi podrygami próbuje odtworzyć kilka schematów, do jakich przyuczono ją na Zachodzie: że naród tylko czeka na swojego Hitlera, że państwa narodowe to piekło mniejszości, a mniejszości – to święta sprawa. Lewica może pójść po rozum do głowy i zrozumieć, że Unia Europejska, a więc projekt europejskiej demokracji bez narodów, była błędem, i przyjąć nieprzekraczalny horyzont narodowej demokracji, albo zniknąć – pisze Krzysztof Tyszka-Drozdowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czy jesteśmy zdolni porzucić PRL.

Języki socjalizmu i liberalizmu są skazane na milczenie. Pierwszy zamarł przed drugą wojną, drugi stracił całkowicie kontakt z rzeczywistością. Liberałowie dużo mówią: straszą i karzą, ostrzegają i wołają o pomstę do nieba. Przestraszeni populistami, rozdrażnieni przez „lud”, bełkocą. Nie są w stanie przedstawić żadnej spójnej wizji, zdolni jedynie do obrony – to zadanie coraz cięższe – stanu rzeczy. A wiemy na pewno, że ich stan posiadania będzie się już tylko kurczył.

Najbardziej znana teoretyk współczesnego socjalizmu, Chantal Mouffe, zaczyna od stwierdzenia, że żyjemy w epoce „liberalnej hegemonii”. Nie da się nic powiedzieć, nie da się wyrazić żadnych postulatów, ani wskazać stawek, bez odwołania się do języka liberałów. Oni narzucają ramy dyskusji i dopuszczają do głosu. W narracji Mouffe liberalizm zawdzięcza swoje zwycięstwo lewicy, która przesunęła się ku centrum. I

z chwilą, gdy szczerą lewica wróci, panowanie liberałów dobiegnie końca. Przy tym belgijska filozof nie brzydzi się „populizmem”, uważa go za naturalny odruch polityczny. Europa zaczyna przypominać Amerykę Łacińską, gdzie linia frontu przebiega między oligarchią a ludem. Jedyne, czego Mouffe nie chce przyjąć do wiadomości, to fakt, że to prawica zakończyła hegemonię liberałów.

Uderzająca jest celność diagnozy Mouffe. Największym wrogiem neoliberalizmu, zauważa filozof, są państwa narodowe i granice. Stanowią one tamy dla kapitału, który chce znieść wszystkie bariery grodzące jego rozwój. Recepta myślicielki jest jednak jakby oderwana od opisu, jaki sporządziła. Skoro państwa narodowe krępują kapitał, to prostą reakcją byłoby odpowiedzieć, że w takim razie przeciwstawmy się mu, stojąc murem za państwem narodowym. Mouffe zbacza tu z toru, którym szły jej myśli i popada w lewicowy dogmatyzm. Opowiada się za populizmem lewicowym, a więc nie narodowym, ale takim, który włącza w obręb „ludu” również imigrantów. Kwiatem lewicowej myśli politycznej jest dzisiaj – jedynie sprzeczność. Albo granice, albo migranci, albo państwa narodowe, albo utopia multikulturalizmu. Nie ma tu trzeciego wyjścia.

Jean-Luc Mélenchon stanowi polityczne odzwierciedlenie teorii Mouffe. To człowiek, który wyłamał się z głównego nurtu (nie brał udziału w prawyborach socjalistów, chociaż mu to proponowano), posługując się językiem obcym polskiej lewicy. W skrócie: SLD to odpowiednik francuskiej Partii Socjalistycznej, przedstawiciel neoliberalnej polityki, nie mający z ludem nic wspólnego. Partia Razem, *toute proportion gardée*, byłaby w tym układzie mélenchonistami. A ściślej: powinna być. Niezależny kandydat na prezydenta V Republiki może mówić o ludziach z *Manif pour tous*, że

przywiodła ich tam głęboka potrzeba duchowa; krytykuje np. instytucję surogatek jako postać handlu ciałem kobiety (co feministki nazywają „prawem do dziecka”, przysługującego wszystkim); jest przywiązany do Francji, do jej suwerenności. U nas lewica jest przeciw suwerenności, bo widzi w niej resztkę z czasów, gdy „europejskie nacjonalizmy zniszczyły Europę” (dokładność każe poprawić: to niemiecki nacjonalizm podpalił Europę). Mélenchon zrozumiał coś, czego lewica w Polsce nie jest w stanie pojąć; jeśli nie zacznie mówić językiem państw narodowych, wyląduje na śmietniku historii. Unia nie zatrzymała historii i nie usunęła z niej narodów. Utopia multikulturalizmu okazała się złudzeniem. Dzieje toczą się niezmordowanie. Lewica przetrwa u nas pod jednym warunkiem: gdy stanie się lewym skrzydłem tego, co profesor Cichocki nazywa „prawicą społeczną” (łącząc polską tradycję, w tym katolicyzm, z odważnymi postulatami socjalnymi).

Ponad rozkładającą się Partia Socjalistyczną walczy więc dwóch: Mélenchon i Emmanuel Macron. Ten ostatni to duch czasów w czystej postaci. Porzuca podział na lewicę i prawicę; jest doskonałym wyrazem liberalizmu integralnego. Nie ma w nim śladu po socjalistycznej nostalgii, stylizuje się na młodego przedsiębiorcę i do takich się zwraca: liberalizm ekonomiczny i obyczajowy stapiają się tutaj w jedno. Macron może liczyć, jak tu ujęli francuscy politolodzy, na „hybrydowe poparcie”: 54% wyborców Republikanów ma o nim dobre zdanie, a więc tylko 3% mniej niż wśród wyborców socjalistów. Jego elektorat to zamożni, młodzi ludzie z wielkich miast, niezależni kosmopolici – tak chcą o sobie myśleć. Badania Cevipof pokazują jednak, że takiego elektoratu da się uzbierać góra 6%.

Wielkim zagadnieniem obecnej doby we Francji jest: czy istnieje coś takiego, jak konserwatywny liberał? Czy można zasadnie mówić o takiej barwie politycznej? Jednym słowem, czy François Fillon jest możliwy do pomyślenia? Kandydat Republikanów obnosi się ze swoim liberalizmem, wplatając w swoje wystąpienia konserwatywne wypowiedzi. Jean-Claude Vincent wydał niedawno ciekawą pracę o konserwatyźmie. Przekonuje tam, że krzyżowanie konserwatyźmu i liberalizmu przynosi wiele dobrego. W jego ujęciu thatcheryzm to przede wszystkim etyka: ciężkiej pracy, odpowiedzialności, patriotyzmu i wartości rodzinnych. No dobrze, ale skoro założenia były tak solidne, to skąd ten rezultat? Czemu Londyn, zamiast być twierdzą wartości tradycyjnych, stał się stolicą kosmopolitów, wykorzenionych bankierów, gdzie Anglicy z dziada pradziada są wąską mniejszością, a najpopularniejszym imieniem dla noworodków jest „Muhammad”?

Konserwatyźm to dla Vincenta pas bezpieczeństwa liberalizmu. Przychodzi jednak taki moment, że moralność protestancka, kapitalizm oszczędności ustępują kapitalizmowi w jego konsumpcjonistycznej postaci, gdzie granic nie ustala już religia, ale hedonistyczne upodobania (co oznacza, że tych barier nie ma). Gdy wolny rynek wyłamuje się z ram narodowych i społecznych, w jakie był wpisany, siłą rzeczy staje się konserwatyźmowi wrogi. Dlatego twór polityczny, jakim jest Fillon, konserwatywny liberał, jest tak niestabilny (gdy piszę te słowa sytuacja jest niejasna, z ławki rezerwowych podnosi się Juppé, reprezentant liberalizmu integralnego). Liberalizm ekonomiczny jest nierozdzielnie złączony z liberalizmem obyczajowym. Te przyszłe powinowactwa, z musu, nie z wyboru, ujawniają się już, w załączku, u Locke’a. Twierdzi on, że ludzie tworzą społeczeństwa tylko po to, aby móc w spokoju się bogacić – przestają być dzikusami i rozpoczynają pracę nad czymś tak złożonym jak cywilizacja i życie społeczne z tego

wyłącznie powodu: aby zabezpieczyć swój majątek. U Locke'a czy u Benjamina Constanta to właśnie handel staje się ideałem społecznym, nic, uważają, nie powinno niepokoić człowieka, który oddaje się interesom. Państwo, polityka i religia, w oczach francuskiego liberała, mogą co najwyżej utrudniać życie jednostkom, które same najlepiej wiedzą, co dla nich dobre. Ten sam morał płynie z pism nowszych myślicieli, jak Ayn Rand, głosząca, że egoizm stanowi najważniejszą z cnót człowieka. Ten kierunek myśli wszystko sprowadza do pułapu ekonomii. Jeśli usuniemy granice i pozwolimy na nieskrępowany, wolny od ceł handel, między narodami zapanuje pokój. Napływ arabskich imigrantów również wymaga odpowiedzi na planie ekonomicznym: gdy uda nam się podnieść PKB o jeden, dwa punkty, muzułmanie gładko wtopią się w nasze społeczeństwa. Europejczycy się starzeją, brakuje kilkunastu milionów rąk do pracy – przyjmijmy imigrantów, aby wypełnili ten ubytek.

Liberalizm, czyli ideologia wolnego rynku, rozchodzi się z konserwatyzmem w chwili, gdy hedonizm staje się zasadą ekspansji wolnego rynku. Już Hayek w *Dlaczego nie jestem konserwatystą* pisze, że prawdziwy liberał trzyma się w równej odległości tak od konserwatyzmu, jak i socjalizmu. Każdy ma prawo do szczęścia i może go szukać na wszelkie sposoby, jak tylko mu się podoba i jeśli tylko go na to stać. Mathieu Detchessahar w świetnej książce *Le marché n'a pas de morale* podaje przykład cudzołóstwa. We Francji zdepenalizowano je dopiero w 1975 r. Od kilku lat rozwijają się portale skierowane specjalnie do ludzi pozostających w związkach małżeńskich, otwierające im możliwość zdrady. Strona reklamuje się billboardami w rodzaju: „Być wierną dwóm mężczyznom, to być wierną dwa razy bardziej”[1]. Przy okazji zyski czerpią inne branże, jak hotelarska, wszyscy są więc zadowoleni. Kolejne zachowania, uznawane dotąd za

urągające ludzkiej godności, jak pornografia, sadomasochizm, transseksualizm, są legalizowane lub depenalizowane, następnie stają się częścią rynku, odpowiadającego na pewne zapotrzebowanie.

W Sejmie nie ma dzisiaj lewicy. A ta, która jest poza parlamentem, błądzi jak dziecko we mgle. Ostatnimi podrygami próbuje odtworzyć kilka schematów, do jakich przyuczono ją na Zachodzie: że naród tylko czeka na swojego Hitlera, że państwa narodowe to piekło mniejszości, a mniejszości – to święta sprawa. Lewica może pójść po rozum do głowy i zrozumieć, że Unia Europejska, a więc projekt europejskiej demokracji bez narodów, była błędem, i przyjąć nieprzekraczalny horyzont narodowej demokracji, albo zniknąć. Albo PPS albo śmierć. Liberałom pozostaje stawiać wszystko na polskiego Macrona, i powoli odchodzić w przeszłość, bo liberalizm to tradycja Polakom z gruntu obca. Liberalizm schodzi ze sceny historii, jego czas minął. Uderzenie wyszło z prawej strony.

[1] M. Detchessahar, *Le marché n'a pas de morale*, Editions Cerf, Paris 2015, s. 35.